



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET

### Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80  
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebiera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

### Wystawa w Muzeum Przemysłowem.

(Dokończenie).

Miejska kobieta nasza pracować chce i wytrwale pracować umie—są tego dowodem te różne gałęzie przemysłu pracy kobiecej, które niedawno prawie że nie istniały u nas, nie zaspakajały potrzeb miejscowych w wymaganiach wytworniejszego smaku, obecnie zaś, nietylko zata-mowały dowóz towaru zagranicznego, ale pracują już na wywóz, i nawet znaczny, jak to ma miejsce z kwaciarstwem. Gdy przy pierwszych początkach przewrotów ekonomicznych—ciężkich czasów, potrzeba zarobkowej pracy kobiecej dała się silniej czuć rodzinom, gdy znalazły się samotne, które o własnej sile nagle stanąć musiały, gdy pokolenie młodsze zrozumiało trudności położenia, wzięto się do pracy szczerze i poważnie—rozumnie. Kobiety z klas intelligentnych stanęły do szeregów robotnic na chleb: i oto mamy wyrób kwiatów doprowadzony do doskonałości, mamy tak licznie reprezentowane przez pędzel kobiecej malowanie, stosowane do przemysłu, że potrzebom naszym w tym kierunku już niemal zadosyć czyni, a szkoły kobiece takiego malowania, pp: Miniewskiej, Poświkowej, Rodziewiczówny i innych, mają wciąż liczne grona uczennic. Wyrób koronek, tak nowy, ledwie lat kilka liczący, rozwija się również z dniem każdym i wystawa stwierdza, jak wszędzie i na wszystkie strony znajdują się chętne tego kunsztu adeptki, w ilu szkołach go uczą, i ile już wykwalifikowanych robotnic w nim pracuje. Można też nie zaliczać tego do marzeń, że zmniejszony już znacznie

zagraniczny ich dowóz wkrótce całkiem ustanie i chyba potrzebować go będą takie fantazyjące zbytnice, które wyprawy w Paryżu sobie zamawiają, jak to niedawno stać się miało w naszym mieście. Gdy *Kuryer Warszawski* doniósł o tej dziwotwornej zachciance, prawie wierzyć się temu nie chciało, ale gdy *Wiek* zapragnął dotrzeć do źródła, aby posiąść na dowodach opartą prawdę i gdy wtedy z tą pewnością już wiadomość powtórzył, wątpić nie było można. Czy ta oblubienica nie jest tylko cudzoziemką, czy to rzeczywiście kość z kości naszej? Jeżeli w tych czasach właśnie jakaś panna młoda została w dzień ślubu odepchniętą przez narzeczonego za to, że wybrednie marząc jakiś idealny strój ślubny, kazała sobie zrobić suknię, całą z piórek gołębic, i wzbudziła w kochającym ją człowieku nagły wstręt z powodu, że tyle ptaszek biednych wydała na ofiarę swego strojnictwa—większą, na wyższych, poważniejszych powodach opartą przyczynę zerwania małżeństwa miałyby narzeczony owej panny bez poczucia obowiązków obywatelskich, bez iskry miłości dla ojczystego kraju. Mógłby był, cofając się przed związkiem z nią, powiedzieć: — Nie mogę łączyć życia mego z kobietą, która jest bez serca!

Wystawczyni kwiatów liczy wystawa względnie mało, bardzo mało nawet, bo jest ich tylko pięć, ale te okazy, które tam widzimy, już dostatecznie powiadamiają nas o stopniu, na jakim kwaciarstwo nasze stoi. PP. Siwińska i Szymkiewiczowa wystawiły wyroby będące już w kunszcie kwaciarskim doskonałością; okazy pp: Karskiej i Kozłowskiej są też bardzo piękne i razem wystawa stwierdza taki stan tego przemysłu, że kwiaty przywozowe inaczej, jak modele mody w ich takim, a nie innym układzie, byłyby kaprysem złej woli, lub nieznanomością zasobów krajowych, co zdarzać się może w wyjątkach bardzo nielicznych. Gdyby gdzieś sprzedający lub sprzedająca nazywali kwiaty swoje paryzkimi, możnaby bez wyrzutu u mienia tej le-

gendzie nie wierzyć, a godzi się odpowiedzieć, że dla tego kupionemi nie będą.

Wystawczyni malowania liczy wystawa 20, rzeźbiarek dwie. Wypalanie na drzewie pp: Nostitz Jackowskich, Izabelli i Wandy; bardzo delikatne i dobrym smakiem zalecające się malowanie na porcelanie p. Gabryeli Jasińskiej, pociąga wzrok zwiedzającej wystawę publiczności. Z wystawy p. Jasińskiej wciąż ubywa przedstawionych okazów, podobnie jak rzeźby w drzewie p. Pauliny Jarnickiej. Rzeźby te stosowane bardzo trafnie do przedmiotów domowego użytku, są bardzo ładne i bardzo przystępnej ceny. P. Jarnicka tylko przez męża do nas należy; z urodzenia Szwajcarka, przybyła do Warszawy, gdy mąż chory i do stron rodzinnych stęskniony, powrotu tego zażądał. Obecnie pracuje ona na chleb swój i jego.

Drugą rzeźbiarką w drzewie, przedstawiającą w tym kierunku ładne rzeczy, jest p. Napoleona Milicer, lecz ta wystawczyni przedstawia i malowanie na materji farbami wodnemi, a razem zgromadzone okazy jej wystawy przedstawiają urządzenie sypialni w połączeniu z meblami buduarowemi, które pokrywa atlas malowany. Katalog objaśnia, że dokonane to zostało własnym pomysłem wystawczyni a zatrzymujące się tu zawsze gromadki ciekawych, wydają zarazem i swój sąd, dotyczący innej jeszcze jak artystyczna strona przedmiotu. — Ta pracowita, estetycznych upodobań pani, chyba się nigdy w domu nie nudzi, nie ma pragnień nieustannej zabawy, nie skarży się na nieznośną długość dni... mówiono bardzo trafnie, bo umieć się zająć, gdy ktoś ma czasu do zbytku, gdy nie zajmuje go praca poważnego trudu życia—jest tego życia sztuką cenną. Zamiłowanie artystyczne zaliczyć można do tego rzędu pożądaných pomocy umilenia sobie życia, postawionego w warunkach szczęśliwych, i tylko jest tu może za wiele różowości, miękkości, roztapiania się w efekta-

rozkoszne. Bardzo ładnie, ale już poważniej, z większą prostotą i smaku szlachetnością przedstawia się garniturek mebli gabinetowych p. Zofii Izydory Powichrowskiej: ładna kanapka i cztery krzeselka pokryte malowanym atlasem, oraz ekran pięknie haftowany.

Do najpiękniejszych haftów na wystawie należy ornat, kolorowemi jedwabiami wypukło haftowany na białym atlasie i pas do ornatu także, na ciemno-purpurowym aksamicie, także kolorowemi jedwabiami haftowany przez p. Józefę Bierzynską z Kielec. Z kunsztmistrzostwem igły łączy się tu artyzm w doborze i cieniowaniu kolorów. Styl, zwłaszcza przy ornacie z tłem ciemnym, poważny i odpowiedni przeznaczeniu okazów.

Wśród mnóstwa tych pięknych robót zbytkowych, oko zatrzymuje się z zajęciem na wystawionych przez p. Bronisławę Leśniewską, przełożoną szkoły panien, okazach białego szycia jej uczennic. Jest tu praktyczna, poważna strona pracowitego trudu kobiety w rodzinie, strona użytecznego przemysłu domowego i należy po dziękować p. Leśniewskiej za zwrócenie jej uwagi wśród pracy wychowawczej w tym właśnie kierunku. Roboty użyteczne w zakresie rodzinnego przemysłu powinny być nauczane pierwej, niż roboty, zwane pięknymi, bo zamiłowanie robotnicy w ich różnaitości i rodzajowym wdzięku może wyradzić się w niechęć do tamtych, z natury swej prostych i jednostajniejszych. Panna Leśniewska zaczyna w szkole swojej dobrze, bo od podstaw, naukę robót kobiecych, i okazy, które wystawia, z tego też punktu widzenia sądzonymi być powinny.

W ogóle każda szkoła ma prawo do odmiennych warunków oceniania jej okazów, może wymagać, aby sądzono nie sam stopień doskonałości tych okazów; ale i kierunki nauczania, metody używane — jej mniejszą lub większą użyteczność w stosunku do ogółu przemysłu w kraju. I tak, na przykład szkoła robót kobiecych hr. Zyberg-Plater, powinna być najpierw sądzoną ze swego stanowiska zasługi obywatelskiej przez to, że pensjonarki, które tam przyjmowane są na warunkach wyjątkowo przystępnych dla klas średnio-zamożnych, stanowiąc będą potem siły, które przemysł pracy kobiecej roznieją na prowincye, na jej wsie. Dalej szczęśliwa metoda łączenia tej pracy z pewnem rozświetleniem umysłów — co daje robotnicę tę wyższą już inteligencją, która nietylko mechanizm jej pracy podnosi, — zaważyć musi na szali wydawanego o szkole sądu.

Podobnie szkoła koronkarstwa p. Heleny Gabryel przedstawia zasługę pierwszego zaszczerpienia u nas koronkarstwa, jako pracy nietylko pewnych, pracowitego zamiłowania amaterek, ale i przemysłu ludowego — przemysłu publicznego użytku. I zapewne na tej-to słusznej zasadzie otrzymała ona w roku 1875 na wystawie lwowskiej najwyższą nagrodę, bo podziękowanie za krzewienie użytecznego dla kraju przemysłu. I na tej to słusznej zasadzie p. Błociszewska obdarzona została na pierwszej Wystawie Muzeum Przemysłowego w 1877 r. medalem złotym. Sądząc bezwzględnie staćby się to nie mogło; ale w stosunku do miejscowych okoliczności, w stosunku do dobrej woli obywatelskiej w rozpowszechnianiu pracy pożytecznej — dlatego, że usiłowania p. Błociszewskiej były przykładem godnym naśladowania, miano najzupełniejszą słusność przyznając jej tę wysoką nagrodę.

Załowac należy, że szkoła robót kobiecych hr. Zyberg-Plater, oraz szkoła koronkarska pani Gabryelowej nie wystąpiły wcale na wystawie.

Na obecnej wystawie przedstawia okazy swoje szkół 6, Najstarszą z pomiędzy nich, co do liczby lat, jest szkoła p. Józefy Swiniarskiej, należącej do pionierek naszej przemysłowej pracy kobiet. Szkoła ta, założona w 1880 r., wyuczyła w ciągu trwania swego 671 uczennic.

Zakład nauki szycia dla biednych dzieci, istniejący pod opieką Warszaw. Towarz. Dobroc. od 1882 r., zajmuje wyjątkowo użyteczne stanowisko. Są tu najbiedniejsze dziewczęta warszawskiego ludu, kształcące się na dobre służące,

na dobre matki rodzin rzemieślniczych. Opiekunką szkoły była pierwotnie nigdy niepomnianej pamięci filantropka, Marya Russanowska, obecnie miejsce to zajmuje p. Marya Józefowiczowa; do szkoły uczęszcza dziewcząt 150. Okazy szkoły powinny też być sądzone z punktu jej przeznaczenia — potrzeb przyszłego zawodu uczennic: a wtedy te okazy prostego szycia na grubszym płótnie, te nieuderzające oka okazy siatki poszywanej ścięciem gipiurowym — okazują się w innym, bo swoim własnym i jedynie właściwym świetle. Uczą się tu także wyrobu koronek, których łokci 12 (gipiury) szkoła wystawia. Trzeba dodać, że choć szkoła uczy i szycia na maszynie, wskutek czego posiada maszyn dwie, niemniej nacisk większy kładzie na naukę szycia ręcznego, bo rodzina uboga, niepracująca na zbyt, nie może posiadać maszyny do szycia. Za kosztownej dla jej środków i nawet nie dość potrzebnej. Przytem szycie ręczne gra wielką rolę w ważnej gałęzi pracy domowej klas ubogich, klas średnio-zamożnych, pracy tak potrzebnej matce rodziny z ludu, jak służącej w domach oszczędnie pracowitych — w pracy naprawiania, cerowania odzieży. Wprawa ręki, jaką daje szycie ręczne, jest tu niezbędnie potrzebną. Dodaję tu nawiasem, że w szkole hr. Platerówny nauka naprawiania, cerowania, łatania bielizny i sukien mieści się także w programacie nauk ręcznych; lecz tam przeprowadzona jest przez wszystkie stopnie, dochodząc do takiej zręczności w cerowaniu i naprawianiu uszkodzeń w odzieży, że może to wytworzyć osobną gałąź pracy dającej utrzymanie.

Szkoła p. Korycińskiej, istniejąca od Września 1885 r., zaznacza się tą stroną korzystną, że zaprowadziła u siebie naukę nowych u nas w pracy kobiecej rzemiosł, jak, koszykarstwo i metalorytynictwo.

Okazy grawerstwa na wyrobach platerowanych, oraz wyroby srebrne i srebrne ze złoceniem wykonane *à jour* za pomocą narzędzia zwanego laubzegą, przedstawiają się bardzo pięknie, jako strona roboty estetyczna, przytem mają tę zasługę wielką, że są otworzeniem drogi dla pracy nowej, w której, jak przypuścić można, przy naszym, na wielką skalę rozwiniętym przemysle wyrobów platerowanych, robotnica odpowiednio uzdolniona może znaleźć korzystne zajęcie, którego jej nie zbraknie, skoro tylko będzie się wywiązywać dobrze z zadania swego. Bardzo ładne są dwie tace, cukierniczka, bransolety srebrne, i srebrne ze złoceniem noże do tortu, kółka do serwet, wykonane przez uczennice: Zofią Kuczyńską, Jadwigę Rudowską, Maryą Gabryelską.

Do rzędu nienowej zapewne, ale dobrze pomyślanej pracy należą lalki, zwłaszcza w naszych kostiumach ludowych, ubrane przez uczennice zakładu, tak ładnie i gustownie, z takim dobrym smakiem i prostotą estetyczną, że należy im się słowo uznania i to dwukrotne: jedno za to, co przedstawiają, drugie za to, czemu może przedstawić się nie pozwolą, bo pociągając publiczność do siebie, usuną na plan drugi lalki strojnice, lalki elegantki, o których powiedzieć można, że szczepią dziewczynkom zarazę upodobania strojów, topienia duszy i serca w gałgankach. Lalek tych jest cztery: jedna spleca poniekąd haracz mamonie światowej, ale tem się ratuje, że jej jedwabna, powłoczysta suknia, jest szatą uroczystej i wyjątkowej chwili życia — ślubnym strojem! Zwie się ona Warszawianką i ubrała ją bardzo zręcznie jedna z uczennic zakładu, ucząca się roboty sukien, p. Jadwiga Walicka. Krakowianką ubrana przez p. Janinę Orzeł, także Krakowianką rodem; Podolanek, przez Podolanek, Alexandrę Żukowską; Mazurka (kostium kobiet wilanowskich) przez mazowieckie dziewczę, p. Filipinę Kurdwanowską — są śliczne. To też publiczność rozkupuje te ładne cacka i zakład musi je wciąż zastępować innymi — ja życzę młodemu robotnikom, aby pracowały aż do znużenia, bo wykonywają rzecz dobrą, a wypychają złą, która często była nabywana w braku innej. — To jest lalek tych jedną jeszcze zaletą, że przy prostocie, która zachowaną została w ich stroju, są estetycznie ładne. Dlatego może nasze rodza-

jowe lalki nie znajdowały dotąd wielkiego pokupu, że były po większej części niesmacznie ubrane, a piękno ma i mieć będzie zawsze swoje prawa.

Ale z lalkami temi wiąże się ze strony przełożonej zakładu myśl poważniejsza, myśl niepośledniego znaczenia. Pragnieniem jej jest, aby mogła kiedy zawiązać się między ucząciami się u niej kroju młodemi pannami współka wyrabiania odzieży ludowej, która obecnie wielkimi partjami wchodzi do nas z zagranicy — z Niemiec.

Gdy tam spostrzeżono niechęć ludu naszego do sukni niemieckiego kroju, gdy dowiedziano się o głosach, które przeciw temu zaczęła podnosić prasa, a co za pośrednictwem dworów i pism zaczęło dostawać się do ludu, — zaraz niemieckie zakłady zaczęły kopiować nasze ludowe ubiory. Przemysł kobiecy, wspomagający się przez urządzenie wspólnie, mógłby temu zaradzić. Za myśl pocziwają należy się p. Korycińskiej uznanie.

Wystawia ona również okazy wyrobu tak drobnego, tak łatwego, tak najdoskonalej kobiecego, że się zadziwić trzeba słysząc, że aż do ostatniej chwili trzeba go było sprowadzać z zagranicy, z Niemiec. Są to kokardki do trzewików i pantofelków kobiecych, które każda kobieta może wyrabiać w domu i odnosić według zamówienia tuzinami do sklepów, a przecież jest to świeży w naszym przemyśle wyrób.

Liczy on na wystawie wystawczynię drugą, p. Bronisławę Orłowską, którą wystawiła tego potrzebnego drobiazgu bardzo ładne, dobrze odrobione okazy.

Zakład p. Korycińskiej ma zamiar wprowadzić u siebie w najbliższym czasie tokarstwo zastosowane galanteryjnie do wyrobu zabawek dziecinnych. I to myśl dobra i wykonanie jej pożądane ze względu zatamowania także drogi towarowi obcemu. Tu obok strony ekonomicznej ponosi się i strona moralna: zabawka to wrażenie na świeży umysł młodzieńczej istoty u zarania życia wywierane, więc tu rzecz obca to oswajanie się z obojętnością, przez fizyognomią twarzy lalki, przez charakterystykę ubioru, co razem w dziecku czułość swojską zaciera.

Sąd komitetu Wystawy da ostateczną pieczęć swego uznania zasłudze pracowitej i kierunkom pracy najużyteczniejszej, ogłaszając wkrótce te wyroki swoje w nagrodach przyznanych uczestnikom Wystawy.

M. Ilnicka.

## GASNAĆA DUSZA

POWIEŚĆ

przez

M. Gawalewicza.

(Dalszy ciąg)

Pan Zygmunt skrzywił się bardzo kwaśno po odebraniu bileciku Heleny.

Wzmianka o katastrofie niespodziewanej nie podobała mu się wcale; on nie lubił katastrof, jakkolwiek szukał w życiu jaknajwięcej sensacji. Romans z mężatką nie był dla niego nowością, ale romans z katastrofą, z powikłaniem, którego następstw z góry obliczyć się nie dało, z odpowiedzialnością, dyktowaną z góry każdemu człowiekowi honoru, bardzo mu nie dogadzał.

Nastawiać głowy nie wiedzieć za co, za to tylko, że się przyjemnie bałamucilo cudzą żonę i doświadczało na niej magnetycznych spojrzeń i uroku wymowy, że się z nią dotąd dopiero teoretycznie obrabiało temat wiarołomstwa, to zdaniem Zyzia było szaleństwem.

Sprytny i domyslny bałamut odgadł odrazu, co zająć mogło między Heleną a Filipem; tego zaś dopuścić nie chciał nigdy, bo wiedział, jakie zo-

bowiązania nałożyłoby na niego rozbicie małżeństwa z jego winy.

Z drugiej strony wytwarzała się teraz dla niego bardzo drażliwa i przykra kollyza; trzeba było sztucznie utrzymać równowagę na poziomie raz zdobytym a nadto wypłacać się z sieci, która razem ze zwierzyzną złowila i łowcę.

Byłby oddał rok życia, rozumie się z ostatnich lat, za to, aby nie potrzebował teraz spotkać się z Heleną oko w oko; jednak pójść trzeba było koniecznie.

Pocieszał się wszelako, że trochę przesady kobiecej w zapatrywaniu się na sytuację, w nazbyt czarnych kolorach wymalowało mu rzeczywistość.

Chodziło mu także o zachowanie możliwych pozorów rycerskości i o zbadanie samego faktu. Stawił się tedy na oznaczonej schadzce w domu matki Heleny; zastał ją samą w saloniku, od którego drzwi do dalszych pokoi były zamknięte. Duża lampa alabastrowa pod lustrem, przyćmiona purpurowym abażurem oświetlała jakimś krwawym blaskiem salonik. Helena, jeszcze w tym samym szlafrocuku, w którym wyszła z domu męża przez roztargnienie, czy umyslną kokieterią kobiecą, siedziała na kozetce z rękoma wsuniętymi po łokcie, swoim zwyczajem, w koronkowe rękawy; nóżki w perskich pantofelkach wyciągnięte oparła na podnóżku pluszowym i zdawała się być pograżona w głębokiej zadumie, kiedy pan Zygmunt, przyspieszonym umyślnie krokiem, z wyrazem wielkiego zaniepokojenia na twarzy, uchylił portyerę i stanął przed nią niezameldowany.

— Pani, co to znaczy?— spytał, wyciągając ku niej rękę na powitanie.

Nie spojrzała na niego, nie zmieniła pozycji; oczy tylko spuściła ku ziemi i przez kilka chwil pozostawiła go bez odpowiedzi.

— Co zaszło takiego?... drzę cały — wyrzekł głosem przyciszonym, obejmując zręcznym rzutem oka salonik, w którym z zadowoleniem zobaczył się sam na sam z Heleną.

— Rozstałam się z mężem — szepnęła przez zaciśnięte usta.

— Domyśliłem się tego; ale cóż było powodem?..

Dopiero teraz spojrzała na niego, jakby zdziwiona, że może jeszcze o to pytać.

— Przejął list pański — rzekła.

Zygmunt brwi zmarszczył z niechęcią.

— I czytał go?

— O nie, nie pozwoliłam mu wydrzeć listu pańskiego z rąk!

— Więc nie wie od kogo pochodził?

— Nie wie, ale przypuszczam, że się domyśla.

Panu Zygmuntowi twarz się rozjaśniła, katastrofa mniej niebezpiecznie się przedstawiała w tych warunkach. Odzyskał swą równowagę i część zwykłego humoru; odłożył kapelusz i usiadł naprzeciw Heleny. Wskazała mu miejsce obok siebie, mówiąc:

— Usiądź pan przy mnie, nie możemy głośno rozmawiać, mama i siostry są tam.

— Na Boga, opowiedz-że mi pani, jak się to stało!..

Westchnęła głęboko, główkę w tył odrzuciła i z zamkniętymi oczyma, jakby się bała jego spojrzeń, zaczęła mówić krótkimi, urywanymi zdaniem. Nie zataiła żadnego szczegółu z całego zajścia z mężem, opowiadała wszystko z większą goryczą, niż rozżaleniem, przedstawiając siebie, jako ofiarę jego gwałtownej brutalności.

— Ale nakoniec jestem wolną! — rzekła, odychając głęboko, tonem podniesionym, jakby jej ciężar jaki spadł z serca i z ust.— Musiałam pana w tajemniczyć w to wszystko, bo nie mam innego przyjaciela w tem strapieniu i wiem, że pan jeden odczujesz moją krzywdę najlepiej.

Sklonił głowę i z wymownym milczeniem dłoni jej przycisnął do ust; delikatna, biała, wypieszczona rączka, woniejąca zapachem lilii, zadrżała w jego uścisku, który miał zastąpić najwymowniejszą tyradę współczucia.

— Teraz pan odejdź; lżej mi już, że mam się przed panem poskarżyła. Dam panu znać, kiedy będziemy się mogli znowu zobaczyć... Do czasu ukon-

czenia sprawy z mężem, nie możemy się częściej widywać...

Pożegnali się szybko, jak dwoje ludzi, którzy się rozumieją zupełnie, a jednak nie rozumieli się wcale; jej się zdawało, że żegna w nim teraz następcę. Filipa, dla którego zerwała małżeńskie więzy, aby je nowymi zastąpić. On zaś odchodził uspokojony, że mniejszą, niż przypuszczał, odpowiedzialność dźwigać mu przyjdzie.

Za drzwiami przemknęła myśl panu Zygmuntowi jak błyskawica:

— Bądź ostrożnym; na schodach lub w bramie, możesz spotkać się z zaczajonym człowiekiem, który musi mieć twarde pięści od młotka i dłuta; po czułem *tête à tête* z żoną unikać należy rozdrażnionego męża.

I cichutko na palcach, jak cień, zbiegł ze schodów i wymknął się na ulicę, by wskoczyć do pierwszej lepszej dorożki i kazać się zawieźć do domu.

Prezes w tym czasie bawił na wsi u siebie, nie przeczuwając nawet, jaką niespodziankę zastanie po powrocie do miasta — i jaką rozmowę stanowczą będzie musiał przeprowadzić z siostrzeńcem po wysłuchaniu wszystkich szczegółów rozstania się państwa Morellich.

Stary Szeliwski napozór z wielkim zajęciem przypatrywał się swojemu brylantowemu pierścionkowi na palcu podczas całego opowiadania Zygmunta, siedząc w fotelu na biegunach i rzucając od czasu do czasu jakieś krótkie pytanie tonem sędziego śledczego, który prowadzi wstępną indagację w sprawie z góry w jego pojęciu rozstrzygniętej.

— Zatem pani Morelli porzuciła męża zupełnie? — spytał w ostatecznej konkluzji prezes.

— Tak się zdaje.

— I porzuciła go dla ciebie?

— Jako dla mnie?..

— Bądźmy dokładniejszymi, porzuciła go przez ciebie — poprawił się Szeliwski.

— Coś w tym rodzaju.

— No, i cóż będzie dalej?

— Nie można wiedzieć, wujaszku — odparł Zy-zio z dwuznacznym uśmiechem, który wywołał surowe spojrzenie prezes.

— Przeciwnie, można i trzeba wiedzieć — rzekł spokojnie, ale z naciskiem, przybierając ton stanowczy, nieliczący wcale z lekkomyślną swobodą siostrzeńca.

— Co do mnie, wiem jak być powinno. Ożenisz się... z panią Morelli.

Zygmunt zerwał się z szeslongu, na którym leżał wygodnie rozciągnięty.

— Ja?!... — zawołał zdziwiony. — Dlaczegoż właśnie ja?

— Proszę cię, nie zmuszaj mnie, abym ci to tłumaczył, co jako człowiek honoru powinieneś doskonale rozumieć. Nie rozbija się szczęścia małżeńskiego dla płochy igraszki, jeżeli się nie jest łotrem i nikiemnikiem.

Głos prezes nabral surowości i mocy; znać było wszelako, że stara się pohamować wewnętrzne wzburzenie.

— Przestrzegalem cię w porę; słuchać nie chciałeś; teraz trzeba naprawić, coś zepsuł — mówił dalej. — Wiedziałeś od początku, że ten stosunek nie może być wycieczną awanturką, która pomnoży twoje szewrony bałamuctwa; uczciwej kobiety nie wolno kompromitować bezkarnie, zwłaszcza, jeżeli się ją kusiło na manowce tak długo.

— Ależ ja tej kobiety nie skompromitowałem niczem! — przerwał Zygmunt.

— Kłamiesz sam przed sobą! Zresztą, rób jak chcesz; mogą ci się moje pojęcia wydać zafane, dziwaczne, przesadne — nie wchodzę w to. Oświadczam tylko, że w rodzinie naszej! nie splamił dotąd nikt honoru nikiemnością, i że jako senior tej rodziny, nie pozwolę splamić go tobie pierwszemu. Krótko i węzłowato mówiąc: ożenisz się z panią Morelli, albo znać cię przestanie.

— Wujaszek żartuje...

— Przypatrz mi się dobrze, czy mam minę żartownisia. Mówiłeś kiedyś, że radbyś usłyszeć raz wyrok opinii surowy i zgodny z moralnością, któryby ci mógł zaimponować; nie wiem, co światby powiedział o panu Zygmuncie Pielskim

w tym wypadku, ale ja mówię, że syn mojej siostry i przyszyły mój spadkobierca, postąpi niegodnie, cofając się od obowiązku, który mu honor uczciwych ludzi nakłada. Jutro w twoim imieniu oświadczę się dyskretnie pani Helenie i jej matce, albo nie zastanę cię więcej w moim domu.

— Ależ wuju, napierasz na mnie tak nagle, — przecież jeszcze rozwodu niema — reflektował Zygmunt, zmiękczony stanowczością i groźbą prezes.

— Postaramy się o niego, bądź spokojnym.

Z temi słowami prezes wyszedł do swego gabinetu i pozostawił siostrzeńca w burzliwej rozterce z własnymi myślami.

— A tom się złapał! — syknął Zyzio, zagryzając usta, nie znalazłszy wyjścia z sytuacji wobec postawionych przez prezes warunków. Odrzucić je, znaczyło to samo, co znaleźć się na bruku i wyrzec się raz na zawsze nadziei spadku, który jedyną był przystanią w przyszłości dla zruinowanego utracjusza, zachowującego tylko pozory zamożności z łaski prezes.

Na drugi dzień pan Zygmunt Pielski pogodzony był z myślą zaślubienia ewentualnie pięknej rozwódki, obliczywszy wszystkie *za i przeciw*, pomiędzy którymi niemalym argumentem była trzecia część ogromnej kamienicy, obciążonej podobno tylko dożywociem przyszłej świekry.

— Bierz lichy kawalerską swobodę! — rzekł sobie w końcu siostrzeńiec pana prezes — w gruncie rzeczy robię niezły interes na mojej niezależności, śliczna żona, majątek, względy wujaszka i uratowanie honoru; to coś warte w tych ciężkich czasach!.. a zresztą rozwód, to jeszcze długie ceregiele. Nie można wiedzieć, co się stanie do owego czasu!.. *Vogue, la galère!*

## IX.

Stanowczo biedny Filip nie miał szczęścia do stałych gości w Dołku; po awanturze z Szalejem, po paszkwilach w *Swistku* przyszła kolej na drobna scenę, ale dotkliwą w dalszych skutkach swoich dla artysty.

Od pewnego czasu po kawiarniach i restauracjach wieczorami widać było młodego chłopca w kozusku, z dużą kędzierzawą głową, który obnosił oryginalne figurki i biusty, uderzające niepospolitą wykonaniem i pomysłowością. Rozkupywano je chętnie za cenę dosyć przystępną, nie pytając, kto jest twórcą tych drobiazgow sztuki, traktowanej widocznie dla chleba.

Chłopak był małowówny, targować się nie lubił, towaru swojego nikomu nie narzucał; kto chciał, kupował, kto nie chciał, popatrzył tylko, lub spytał o cenę, nie narażając się na natręctwo małego handlarza rzęby.

Nie przypuszczano nawet, że jeden z najmniejszych talentów rzeźbiarskich marnował się na takiej rodzajowej robocie i że biusty tych Mickiewiczów, Słowackich, Kościuszków, lub alegoryczne główki modelował Filip Morelli w swojej opuszczonej i nieprzystępnej od dłuższego czasu pracowni.

Usłużnym Ganimedem artysty był Pietrek; w dzień pracował dla sztuki, wieczorami dla chleba i nie wstydził się chodzić z odlewami po miejscach publicznych, by mistrzowi swojemu przynieść około północy trochę utargowanego grosza na jutro.

Gdyby nie ten lichy zarobek, bardzo krucho byłoby z Filipem.

Z odrazą i wstrętem wziął się artysta, za poradą Szaleja, do takiej eksploatacji swego talentu.

— Posagów ci nie kupią — mówił poeta — i nie rychło znów wykuwać je potrafisz; zresztą dla kogo?... dla pismaków gazeciarskich? na marmurze połamiesz sobie do reszty zęby; z gipsu jako tako żyć będziesz. Lep figurki, przyjacielu, abys miał czem żołądek zalepiać.

Filip z początku obruszył się na taką radę:

— Wolałbym z głodu umrzeć!..

— Nie umrzesz — zapewniał Szalej — bo głód tem się różni właśnie od pragnienia, że kiedy ono znieprawia człowieka, to ten go rozumu uczy

i do pracy zapędza. Aby zalać gardło, człowiek ukradnie, zrabuje, zhańbi się; aby żołądek zapchać—bierze się do roboty. Gdybyś był pijakiem, wierzę, że zmarniałbyś z opuszczonymi rękoma, ale, że na moje nieszczęście nie mam w tobie towarzysza, więc wiem na pewno, że skoro ci się tylko porządnie jeść zechce, chwycisz dłuto i wyłobisz w oka mgnieniu coś przesłiznego, na co się te małpy, naśladowujące Pana Boga, rzuca niechybnie.

— Tak dawno nic nie rzeźbiłem — tłumaczył się ze smutkiem Filip — głowy nie mam, pomysłów mi brak...

Szaleje spojrział na niego spod oka z uśmiechem satyra.

— Słuchaj-no, nieboszczyku—rzekł — artysta bez głowy, bez pomysłów, bez ochoty do tworzenia, to trup!... czyżbyś ty mi już umarł niespodzianie, bez mojej wiedzy?... przyznaj się, Fidyaszu.

Potem, potrząsając głową, z gorzką ironią dodał:

— Wszystko na opak idzie na tym świecie; Pigmalion kamienieje, kiedy Galatea się ożywia. Tfu!... mitologiczne bajki na wywrót dzisiaj się sprawdzają.

A wciskając nagle Filipowi dłuto do rąk i pochylając go ku stolikowi z gliną, zawołał:

— Na, masz, do roboty mi zaraz leniuchul. rękawy zakasz i przypomnij sobie, czem byłeś za życia, nieboszczyku artysto. Ja ci tu będą erotyczne piosenki tymczasem przyspiewywał, jak improwizator włoski, abys miał natchnienie lepsze przy pracy.

I wyciągnął zmięty, zbrudzony manuskrypt na świstkach i odczytywał Filipowi swoje wiersze liryczne canzony, albo pełne gorzkiej satyry fragmenty, a potem skręcał karty na filibus i zapalał nim papierosa, wrzucając tlejące się resztki do pieca.

W ten sposób powstały drobniejsze prace Filipa, które stosunkowo lepszy dochód mu zapewniały, niż dzieła natchnienia w szlachetnym i wielkim stylu.

Zdarzyło się pewnego wieczora, że Pietrek w swoich wędrówkach wieczornych zabłądził do kawiarni Dołkowskiego, niosąc na rękę dwie pozostałe główki, na które jeszcze nie mógł znaleźć nabywcy; jedna z nich wyróżniała się dziwnym pomysłem, który Szaleje poddał Filipowi. Była to głowa Janusa z rysami kobiecemi; w dwóch twarzach artysta płacz i śmiech przedstawił. Śliczna i idealnie piękna twarzyczka dziewczęca, z oczyma przymkniętymi, ze łzami na rzęsach miała z drugiej strony jako *pendant* śmiejącą się cynicznie twarz starej, potwornie brzydkiej wiedźmy, która mierzyła swoje szczerbate zęby, jakby przedrzeźniając smutek i melancholię tamtej.

Pietrek wszedł do „ciupki“ i ofiarował swój towar pierwszemu z brzoza gościowi; był to wysoki Drała. Humorysta podniósł pod światło gipsowy biuścik „Płacz i śmiechu“ i zaczął na niego zwracać uwagę innych.

— Patrzcie, patrzcie—wołał — pyszny figiel!... co to jest prawdziwy dowcip w sztuce. Niechże to kto z naszych wymodeluje!...

Zaczęto się kupić około Drały i przypatrywać gipsowi.

— Zkąd ty to masz, chłopcze? — spytał ktoś Pietrka, któremu oczy się zaiskrzyły podczas słuchania pochwał dla pracy i talentu jego mistrza.

— Z naszej pracowni — odrzekł wymijająco.

— To tu robione?

— A tu.

— Ale według odlewu z jakiejś obcej rzeźby?

— Nie, proszę pana, to oryginalnie modelowane.

— Aktóż to modelował?

— Mój pan.

Odpowiedzi chłopca zaciekały jeszcze bardziej audytoryum „ciupki.“

Niewiadomiec, który wszystko wiedział i wszystkich w mieście znać musiał, przyglądając się Pietrkowi, zawołał nagle:

— Niech się nigdy nie ożenię, jeśli to nie famulus Morellego!... widziałem go na wystawie,

gdy przynoszono tam jakąś grupę naszego Michała - Anioła. Słuchaj-no, mały, od kogo ty jesteś?...

Pietrek milczał, wahając się instynktownie zdradzić *incognito* swojego pana.

— Ależ to widoczne — przerwał Drała — jeśli to miejscowa robota, to tutaj nikt inny zrobiłby tego nie potrafił, tylko Morelli. No, smyku, przyznaj się; prawda, że to robota pana Morellego?

Chłopak machinalnie głową skinął na potwierdzenie.

— A co?—wołał Niewiadomiec zadowolony ze swej przenikliwości. — Mistrz się puszcza na fałszywą artystyczną; trzeba będzie światu ogłosić tę nowinę. Robimy teraz w gipsie, odkąd się na marmurze zbankrutowało. Uczcie się dzieci praktyczności! — dodał złośliwie, zwracając się do obecnych.

Na ten temat posypały się znowu dowcipy, przytyki dla artysty, jak zawsze w tem gronie, nie pochlebne.

Pietrek stał, jak na rozżarzonych węglach; nie mógł słuchać obojętnie naigrawania się z Filipa, kilkakrotnie chciał odebrać biuścik z rąk Drały i wyjść z tej jaskini, w której mu duszno było.

— Wiecie co? — zawołał długi humorysta — proponuję składkowemu funduszami zakupić to dzieło i na wieczną rzecz pamiątkę ustawić je tu nad naszym stolikiem; będziemy je codziennie obracali inną stroną. Chłopak, ile chcesz za tę głowę?

Pietrek wyciągnął po nią rękę w milczeniu.

— No, gadaj.

— To nie na sprzedaż dla panów — rzekł głosem drżącym.

— O!... a dlaczegoż to nie?

— Bo nie — brzmiała krótka, ale stanowcza odpowiedź podrażnionego chłopca.

— Widzicie go!... nie chce sprzedać, to ją konfiskujemy na własność publiczną. Niech powie swemu panu, żeby tu po swoje pieniądze przyszedł.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## Korrespondencya zagraniczna.

Poznań, w końcu Listopada 1886 r.

Anormalne stosunki wyrodziły też u nas anormalne wychowanie, ztąd mnożące się dziś sofizmata, a nie rzadkie opuszczanie rąk przez słabość ducha i próżniactwo. Rosnące wśród obecnej próby pokolenie niewątpliwie inne rozwinie zdolności, inaczej będzie uzbrojone na życie i walki życia. Wadliwość wychowania paniczowskiego dziś gorzkie wydaje owoce: strach pracy, wstyd oszczędności, obawa udrczeń powszednich jest w młodzieży przewodniem tętmem. Gdzież po tem znaleźć i szukać pola ofiary, ochoty do poświęcenia? Sztuczne warunki lat ostatnich wyrównywały różnicę położenia i majątku. Szlachcic na zagrodzie chciał raz więcej być równym wojewodzie. Znikały dworki nasze serdeczne, pałace wyrastały, jak grzyby po deszczu, a w pałacach hodowano, jak w cieplarni, panienki niemające wyobrażenia o prostych i pięknych zajęciach, obowiązkach, nawet rozrywkach, polskiej na wsi pani. *Figaro* tam bywało wyrocznią i lekturą codzienną; wody w lecie na porządku dziennym; zbytek najniebezpieczniejszy, bo powszedni, stawał się drugą naturą; stół wykwinny, służba liczna, piękne ogrody, ekwipaże, komfort i wygoda na każdym kroku: oto szkoła życia, którą potem „z pałaców sterczących dumnie“, przenoszono do chatki, na jedną wioszczynę, siląc się, aby wystarczyć i na jedną stopę ogólnie przyjętą prowadzić dom, urządzić sobie życie. Oczywiście, strona zbyt naciągnięta pęknąć musiała i już zewsząd pękała, gdy na to przyszedł grom kolonizacji i zastał nas słabych, bezbronnych, nieprzygotowanych. Wiele ciężkich przechodzimy kolei, ale może najsurow-

szem doświadczeniem jest ciągle obrachunek z sumieniem, żal za przeszłość i skrucha po wszystkich zmarnowanych zasobach siły.

Tyle pokutnego wyznania. Rzeczywiście położenie dziś jest oplakanem. Według urzędowego zestawienia jest już w naszym księstwie 1.010 większych właścicieli Niemców, posiadających 723,899 hektarów; polskich zaś właścicieli 649, posiadających 656,479 hektarów. Oile wnosić się godzi, około 60,000 hektarów polskiej własności tak jest zachwianych, że prawdopodobnie zginą w najbliższym czasie pod naciskiem niepomysłnych stosunków, i staną się łupem komisji kolonizacyjnej. W takim razie zostałyby jeszcze 600,000 hektarów, czyli blisko dwa i pół miliona morgów w ręku mniej więcej sześciuset właścicieli Polaków, którzy nie mogą patrzeć z założonymi rękoma na systematyczne wywłaszczenie spółobywateli. Zkąd tedy znaleźć pomoc, gdzie szukać ratunku? Od kilku miesięcy niema prawie innego przedmiotu narad, rozmów, namysłów. Jedni twierdzą iż najlepszą jest obrona osobista obwarowanie się pracą i oszczędnością we własnej siedzibie, aby ją ocalić. Inni pragną zbiorowej akcji, szerszego działania. Czasopisma galicyjskie i warszawskie jęły tedy nas obwiniać o niedołęstwo, prasa poznańska tymczasem wyrzekała na obojętność innych dzielnic na naszą niedolę. Wobec dwustronnej presji postanowiono nareszcie coś zacząć. Inicytywa trysnęła z niewieściego serca, skromnym datkiem 40 marek i serdecznym listem zapraszającym do „bratniej ofiary“, mającej na celu wykupywanie ziem polskiej. Sypnęły się datki, a więcej jeszcze podnieciła się czynność; nareszcie mgli-te projekta zaczęły w jaśniejszą oblekać się formę. I znow poufna narada zgromadziła w Poznaniu grono obywateli w identycznie niemal jednakiej liczbie sześćdziesięciu kilku, taksamo jak przed dwoma laty, gdy przyszło do napisania odezwy nawołującej ku oszczędności i pracy. Alboż tylko tylu mamy „sprawiedliwych“, czy zawsze oni jedni staną na wyłomie? Oczywiście jest ich więcej, ale nie dziw, że zastęp inicjatorów dobrego, ludzi rzutniejszych i chętniejszych, mniej więcej pozostaje jednakim... Zszeregowano się tym razem około młodego obywatela, hr. Stanisława Żółtowskiego, który nie od dziś przodować zaczyna na szlakach poczciwej pracy i szlachetnych usiłowań. Z tych narad, które, oile być można, zachowują cechę prywatną i poufną, wypadło postanowienie założenia pewnego ogniska akcji ratunkowej, wspólnymi siłami. Obecnie mężowie zaufania opracowują projektą podobnej instytucji, a jednocześnie zewsząd sporne głosy odzywają się *pro* i *contra*. Widmo *Tellusa* i klęsk, jakie ztąd dla kraju wynikły, obawa pewnej zadawnionej nieudolności polskiej w prowadzeniu przedsięwzięcia finansowych, niejednego odstrasza.

A tymczasem mrówka góry znosi, pajęczek potężnemu królowi życie uratował, myszka z sieci lwa wybawiła. Słusznie odzywa się *Kraj* petersburski, który wielce się sprawami naszymi zajmuje i z ofiarą istic królewską wystąpił w imieniu bezimiennego obywatela: chociażby się jedną tylko wieś ocaliło, jużby warto i rzecz rozpoczynać. Z takim-to usposobieniem należy do podobnych przystępować szlachetnych przedsięwzięć. Pamiętam, gdy przed laty w przygodniejszej chwili otwierał się w Poznaniu wielki zakład naukowy dla młodzieży, i ktoś, patrząc na ten zastęp dziatwy polskiej, z westchnieniem odzywał się do jej kierownika, ks. Jana Koźmiana:

— A wielu się to uda zpośród tylu chłopców? — Choćby jeden tylko, — z zapalem odparł rektor nowej instytucji, choćby dwóch: a jużby się wszystkie oplaciły trudy.

I oto dziś skromność tych wymagań a ogrom poświęcenia sownie został wynagrodzonym. Nie jeden, nie dwóch tylko z owej młodzieży na pozYTEK krajowi wyrosło. Dziś po części z tej-to szkoły wyszli ludzie biorący na swe barki ciężar dnia znoje i troski obecnej chwili. Chcieć wiele, a kontentować się i małym: oto tajemnica wytrwałości w ofierze i zadatek jej skuteczności.

Już w powietrzu drgają zapowiedzi nowych na zimę ustaw antypolskich, a tymczasem komisya

kolonizacyjna swą rozwija czynność. Wyrwa formalnie i wydziera ona grunt spod stóp naszych. Codziennie płyną Jobowe wieści: tu byli, tam byli, tu oglądali, tam kupili. W kilku miesiącach przeszło 40,000 mórg polskich w ten sposób nabyto—a co interessów w biegu, co sromotnych szczegółów! Nie sądźcie jednak, aby wszystko, co wam opowiadają o obniżeniu się pojęć i moralnego u nas poziomu miało być prawdą. Rozgłoszono, iż do stu obywateli zameldowało się dobrowolnie z gotowością sprzedaży do kolonizacji. Niestety! znalazły się hańbiące wyjątki i bieda niejednego obłąkała. Atoli były to i są, jak powtarzam, rzadkie wyjątki, rozpaczą nędzy przywiedzione do ostateczności. Przesadne wieści ztąd powstały, iż wszyscy agenci do sprzedaży dóbr, nie zapytawszy się nawet właścicieli, samowolnie podali do komisji powierzone sobie transakcje, co tylko na nich oburzenie zwrócić powinno, nie dotykając wcale niewinnych, bo nieświadomych obywateli. Owszem w tej mierze, jedna tylko istnieje miara sumienia i jedno zdanie. Zmuszeni nawet do koniecznej sprzedaży właściciele zastrzegają się, iż ziemię z której się muszą z bólem serca wyzuwać, oddają prywatnemu nabywcy, nie zaś na cele kolonizacyjne. Niestety! znalazły się już fakta bolesnego nadużycia dobrej wiary sprzedających. Podstawione figury, nazajutrz po dokonanej transakcji ustępowały nabyte przez się majątki komisji która, jak wampir żądny krwi, roztacza swe nietoperzowe skrzydła nad coraz szerszymi obszarami ziemi naszej. Mimo gwałtownej i gorączkowej czynności, znać usystematyzowanie działania tejże komisji. Powiat gnieźnieński głównem jest dziś polem experimentów kolonizacyjnych. Jak wypadną następne wybory, domyśleć się nie trudno przy nadzwyczajnej pressji, która bez przebierania w środkach, już nam dała świeżą próbkę swego działania, przeprowadzając w Prussach Zachodnich, na miejsce opróżnione przez śmierć s. p. Ignacego Łyszkowskiego, znanego i zawistnego kulturnika, Hobrechta.

(Dokończenie nastąpi).

## DRAMATA KONKURSOWE.

### I.

**Laryk**, tragedia w 5 aktach, proza, z motywów dziejowych, napisana przez Jana Gadowskiego (druk pierwotny w *Ateneum*, wydanie osobne w Gebethnera i Wolffa str. 100, in 8-vo 1886 roku).

Daleko w głąb przeszłości zapuścić się potrzeba, aby znaleźć tło dziejowe wypadków udramatyzowanych przez p. Gadowskiego. Porównując zmyślenie sztuki z prawdą historyi, spostrzegamy, że się dramat rozgrywa w Brytanii, za panowania Domicjana, około 90 roku po Chrystu. Agricola wtedy już dokończył podboju rozpoczętego jeszcze przez Cezara, a systematycznie prowadzonego od czasów Klaudyusza. Rzym zgryzł był już Brytanów właściwych w Anglii dzisiejszej, aż poza Newcastle, i zabierał się do Szkotów; południowe ich pokolenia miały już u siebie załogi rzymskie. Ósmego roku swego konsulatu i wojowania Agricola przekroczył Boddrią, pomknął na północ i stanął u stoków dzisiejszego Highlandu, ponad Edinburgiem i Glasgowem, w południowej części hrabstwa Perth. Nigdy jeszcze stopa rzymska nie posunęła się tak daleko ku biegunowi. Wyobraźnia, biegnąc dalej jeszcze w tym kierunku, dostrzegala już kraniec ziemi, mityczne Thule. Z puszczy Kaledonii wiał na legiony rzymskie, na zaciężnych Gallów Francji, Batawów i Germanów, na wyrodnym wrzescie synów Brytanii, wynajmujących się Rzymianom, tajemniczy urok wspaniałej natury, a żądze podboju i zniszczenia mroził strach przed nieznaną otchłanią gór i przepaści, ciemnych borów i jezior — przed ludem nieznanym, co mógł jak jeden bór ciemny, nieprzebyty za-

grodzić drogę i oporem swym zetrzeć pychę rzymską. Poprzedniego roku niewiele już brakło do tego, aby napad Kaledonczyków na jeden z legionów zakończył się klęską najeźdźców. Ale okróćciele świata—jak ich Krasinski nazywa—mieli już sztukę zwyciężania we krwi swojej. Przewrotny wódz nie poległ na sile legionów i ściągnął z kontynentu osm tysięcy najemników, tak, iż razem dwadzieścia tysięcy mieć musiał.

Na Podgórzu Grampiańskiem czekali go Kaledonczycy. Miał to być dla nich dzień wielki: poznali zawczasu grozę, zaniechali niezgód i zjednoczyli swe siły. Do trzydziestu tysięcy stało czoło najazdowi;—zamało, bo przewaga liczby nie była tak wielką, aby mogła pokryć wyższość szyku i sprawności rzymskiej. Nad pokoleniami objął dowództwo najwyższe jeden z tanów którego imię Tacyt przekazał potomności w rzymskiej postaci „Galgacus.“ Zapewne z opowiadań samego Agricoli, swego teścia, zaczerpnął danych do wspaniałej mowy włożonej w usta Galgaka przed bitwą. Jestto arcydzieło szczytności w myślnym wzór krasomowstwa. Zbliżyła się chwila walki. Celtowie stali na wzgórzach, nastawieni w podkowę, której końce spadały na płaszczyznę, srodek tkwił na wysokich wzgórzach. Rzymianie, stanąwszy przed frontem, lękali się obejścia — i pierwsi natarli. Impet dał zwycięstwo. Dzięsię tysięcy Celtów zostało miało na placu. Buletyn posłany „Lysemu Neronowi,“ podawał straty rzymskie tylko—na 360 poległych. Mrok przy słońcu los Galgaka. Kaledonczycy, wyparci na północ, wraz z Piktami przetrwali Państwo Rzymskie.

Dramat p. Gadowskiego przyjął w siebie z historyi jaknajmniej, ale za to z idei, które czyniły być mogły przy walkach narodowych plebienia celtyckiego z Rzymianami—bardzo wiele. W dramacie nie spotykamy się nawet z nazwiskiem Agricoli, a pięknej mowy Tacyta Galgacus p. Gadowskiego zupełnie się wyrzekł.

Tożsamość wszakże „legata“ z Agricolą najlżejszej wątpliwości ulegać nie może. Cały ósrodek, w jakim się poruszają indywidualizowane siły ludzkie w dramacie, zawdzięcza upostaciowanie swoje raczej naiwnemu polotowi fantazyi, niż karnie w jarzmie wiedzy trzymanemu zmysłowi odtwórczemu—tej diwinacji, która ze znanych rzeczy nieznanę odtwarza. Nie chodziło też autorowi bynajmniej o Brytanów, o Galgaka i Agricolę. Zapaliła mu się myśl od ogólnie ludzkiego, w wiekuistość i powszechność wyposażonego stosunku, który ogromem i ciężarem swoim wszystkie inne w życiu przenosi: i ten-to stosunek stał się właściwie bohaterem jego dramatu. Zamierzchał dzieje dały tylko sile jego twórczej swobodne miejsce, cichą ustron, w której już nie potrzebował oglądać się na konkretne prawdy tej lub owej rzeczywistości historycznej. W mglistych dziejach Brytanii nie mu już nie przeszkadzało składać myśli badawczego rozumu i uczuć żywej piersi rwących się do upostaciowania myślowego.

Potrzebą autora a zadaniem jego dzieła było przedstawienie w formach pięknotwórstwa dramatycznego, psychologii walk i upadków w boju i pokoju—różniczkowania się intelektualnego i etycznego tej najwyższej niedoli świata, dla której historyk ścisły ma nazwę nieuniknionej konieczności, ale którą poeta prawdziwy odczuje zawsze jako akt wolnej woli ludzkiej i w majestat nieszczęścia zawsze przyoblecze. Psychologiczne bogactwo *Laryka* czyni zeń dzieło tak wybitne, że najnowsza nasza literatura dramatyczna nie posiada utworu ideowego, któryby w równym stopniu łączył przejrzyłość myśli z plastycznością i prawdą substratów człowieczych.

*Laryk* jest utworem rozumnym i natchnionym, ale go źre rdza jakiejś trzeźwości realistycznej; która w skutkach swoich w podobny sposób działa, jak uczuciowy pesymizm Asnyka w *Cola Rienzim*. Autor, wytwarzając nieistniejącego w dziejach *Laryka*, mógł go najzupełniej uczynić bohaterem, jakim być powinien: uczynił go dzielnym, a chorym człowiekiem, jakiego właśnie potrzebowało dla siebie nieszczęście Brytanii.

Tkwiała zawsze w bohaterstwie względna doskonałość wydała się autorowi czemś nieprawdziwym, niezgodnym z prawdą życia, z doświadczeniem, z rozumem umiejącym patrzeć w ludzi i rzeczy ludzkie. Ta ściśłość, czy sumiennosc racjonalistyczna była autorowi „bawelną wuszech“ wprawdzie nie „od ludzkiego jęku“—ale od ludzkiej boskości „Dziś tą bawelną wszyscy najchętniej sobie uszy zatykamy. Dzięki tylko rzeczywistej poetyczności, którą ma w sobie p. Gadowski, choć wierszy nie pisze, jego *Laryk* nie jest studjum psychologicznem, ale istotą żywą. Gdyby dramat był dziełem pisarza, a nie poety, to główna jego postać przy danych genetycznych żywiołach swoich, musiałaby ostatecznie sprawić wrażenie krytyki pokazującej, jakim bohater być nie powinien, a nie pięknotwórstwa, któreby go ukazało, jakim jest. *Laryk* p. Gadowskiego, wygląda jak człowiek zaskoczony przez wypadki nie jak ten, na którego wypadki czekają, w którym się kłębią i do wybuchu gotują, który je sam z siebie w warunkach i w wązozach—otoczenia swego rozwija. Bohater p. Gadowskiego nie ma prawa do nazwy „charakteru“: jest to chaos pierwotnych sił natury i ducha—tworzywo dopiero; nie, twór. Autor nie oszczędził mu nawet rysu tchórzowstwa, a prawowity i dla istot rwących się do czynu niezbędny zmysł zachowawczy tak silnie w nim zaostrzył, że mu nawet niepotrzebnie, bez celu i bez skutku w dalszych kolejach dramatu, nakazał popełnić morderstwo na współwięźniu. Morderstwa tego nie usprawiedliwi największe nawet upodlenie ofiary i ztąd wypływające prawdopodobieństwo i obawa zdrady. W chwili stanowczej, kiedy już wrze walka z Rzymianami, którzy w dramacie osaczają Celtów—aby jednym zwycięstwem, drugim klęską łatwiej przyszła—w chwili tak potężnie przemawiającej nawet do pospolitych umysłów, namiętny, dziki *Laryk* staje się opętany, pastwi się nad córką i dusi ją w uściskach piekielnego gniewu, wzgardy i żalości ojcowskiej, iż wyrodnikowi takiemu mógł dać życie: a tymczasem naród jego duszą w uściskach swoich Rzymianie. Za to końcowa scena dramatu, z *Larykiem*, prowadzonym na krzyż, wynagradza nas za wszystko, co nam poprzednie odjęły. Ten Celt, na którego pła lud własny, którego policzkuje żołdak rzymski, któremu pod majestatem męki wybiera dusza w myśl szczytne i słowa prorocze, a straszne jak śmierć—wzrusza nas do łez. Czujemy tu więcej, niż mękę i nieszczęście jednego człowieka: czujemy mękę i nieszczęście milionów—nieubłagane prawo życia miazdzące tych, co żyć nie chcieli. Psychologiczna zasobność *Laryka* i całego dramatu w ostatnich właśnie scenach silnie występuje. Rozmowa Boba, Mola i Raka rzuca do serca promień litości, obudza rzewną żalość nad tymi, co żyć muszą w śmierci. W samym końcu monolog Brania jest już zbyt czułym i więcej szkodzi, niż pomaga.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## ZEGAR NA WIEŻY BOŻEGO NARODZENIA.

Podanie szląskie.

Obok historyi piśmiennej, opartej na dokumentach, przewertowanej przez krytykę, miłości się poniżej podanie ustne, legenda, która jest historią ludową. W połowie czerpie ona z rzeczywistości, w połowie bierze z krainy fantazyi to, co stworzyła tęsknota i rodzima poezja ludu, co złożyło się tam z pożądań jego uczucia i snień idealnych. Zdarzenia, które opiewa, nie mają też nigdy miejsca stale określonego. Kiedy ci je opowiadają tak dokładnie, tak wyraźnie, że obraz stoi przed tobą, jak żywy, ty zaś zapytasz: A gdzie to było?... wyciągnięta ręka pokaże ci na wschód lub zachód.—Tam za lasem... tam za wodą, w drugiej, trzeciej, dziesiątej wsi...—objasniają cię spokojnie. Było gdzieś... i dość na tem, tak

też jest z podaniem Łazów Szlązkich o zegarze bijącym co północ Bożego Narodzenia kiedyś na starej wieży zruinowanego siedliska szlacheckiego rodu, o którym mówią, że nie wygasł jeszcze—ponieważ zegar bije dotąd!

Szlązak, pokąd się jeszcze nosi magierka krakowska, podanie to zna; znają je i górale gór Jabłonek. Błąka się ono po całej tej okolicy górskiej i po podgórzu tamtejszem, lecz wychodzi z tych lesistych zboczy przecznicy gór Jabłonkowych, gdzie pod Girową Górą wypływa źródło rzeki Olśzy. Podanie zdaje się razem z nią płynąć i spuszczać się ku Odrze. Jak lud już na granicy regli górskich osiedlony, spojrzawszy ku lesistym wyżynom nazywa je czarnymi borami, tak mówi, że wieża Bożego Narodzenia jest w Czarnych Borach.

Zameczek, wśród którego ruin dźwiga się jeszcze tylko ona samotna, należał do Czarnoborskich, których ród miał jakoby już zniknąć, którego ziemię wzięli inni, ale mimo to, nie prawda jest, jakoby już ich nie było na świecie. Są jeszcze, ale już tylko tam het... het wysoko w Starych Czarnoborach!

Niżej były Nowe Czarnobory, wieś wielka, do której należał klucz cały. Rodzina dzieliła się na dwie gałęzie, idące przeciw z jednego pnia; w Starych Czarnoborach mieszkał kiedyś stryj, w Nowych synowiec, lecz ten ożenił się z Niemką. W Wiedniu, góral mówi: w „Widniu“ przebywał on dla pańskości, dla dumy swej—dla dworu i tam się ożenił. Gdy potem do siebie na wieś wrócił: przywiózł tu naturalnie i Niemkę, a zdarzyło się nieszczęście, że niedługo żył i Niemka wychowywała syna jedynaka. A umarł po bardzo krótkiej chorobie z zaziębienia, bo wydelikacował się w stołecznych pałacach i gdy raz mroźne powietrze górskie go przejęło, gorączki dostał. Ludzie mówili, że, czując śmierć, rwał się testament pisać, ale już czasu mu nie stało. Miał go kiedyś tak dużo, że po wiedeńskich zakamarkach go marnował, a potem zabrakło mu godziny jednej!

Jednej godziny... jednej tylko i było mu pewno ciężko, bardzo ciężko umierać, bo chciał widać wychowanie syna na stryja zdać, jak ludzie mówili, wnosząc ze słów jego ostatnich. — Staś!... Staś... krzyczał, choć chłopczyk siedmioletni, płacząc tuż koło łóżka stał, matki się za suknie trzymając, a potem zaczął wołać na gwałt stryja Michała, to jest tego, który w Starych Czarnoborach mieszkał, a był mu jedynym krewnym blizkim, jaki żył.

Był to brat młodszy jego ojca, i dlatego dostał mienie pośledniejsze, więcej lasów, niż pola mające; starszy wziął dobra główne, z zamczkiem pięknym, ale tam w Starych Czarnoborach było gniazdo rodu i bogdaj się byli Czarnoborscy nigdy nie spuszczały niżej! Mężczyzna, twardej chowanim, nie byłoby się zachciewało Wiednia i miłości Niemki!

A teraz ten oto biedak w gorączce stryja widocznie po to wzywał, by mu synka Stasia w ręce oddać, ale wołał daremnie! Przez to niemieckie małżeństwo stosunki rodzinne bardzo między synowcem a stryjem oziębły i nie dano też tamtemu znać, gdy ten zachorował. A szło też owo nieszczęście prędko, bardzo prędko; ani się spostrzeżono, gdy śmierć zapukała do drzwi i weszła, choć ich jej nie otworzono. Żona, też, mówiąc prawdę, była bardzo przejęta, zastrachana, choć Niemka, kochała męża, jak to wszyscy przyznawali, że przeciw nie byłaby chętnym sercem przystała na to, aby stryj męzowski miał nad jej dzieckiem prawa większej opieki, niżeli ona, matka—to też było pewną rzeczą. A może i posłaniec nie byłby już do Starych Czarnoborów tak na czas zdążył, aby ztamtąd stryj do synowca mógł przybyć po jego wolę ostatnią? Umierający, gdy go w nocy gorączka naraz opuściła i zaczął się stawać przytomnym, zachciał pióra i papieru, ale pisać już nie mógł. Lokaj Kajetan widział, jak się silił, silił biedaczek!... lecz nie mógł i zapłakał tylko. Łzy wyraźnie toczyły mu się po licu, jak groch duże, i tak zalany niemi dźwignął się jak mógł na poduszki i syna jeszcze widzieć zażądał. Dziecko już spało, ale je zbudzono i przyprowadzono ojcu do śmiertel-

nego łoża, a on rozkazał, aby Staś tuż, tuż przy nim stanął. Myślano, że go pocałować chce—ale nie! Położył mu tylko rękę na głowie, i to męcząc się już okrutnie. — Pamiętaj ty ojca synu!—rzekł a wszyscy, bo się i służba, jak kto mógł, do sypialnej komnaty wciskała na wieść, że pan kona i dziecko żegna—wszyscy płakali.

— Pamiętaj ojca... pamiętaj, żeś!... ale już nie skończył. Za rączkę chłopczynę schwytał i dobywając głosu, jakgdy w rozpacz jakiejś okrutnej, krzyknął: — Pamiętaj, żeś!... i padł na poduszki—skończył.

— Niech Pan Bóg daruje to duszy jego, co uczynił, że Niemkę dziecko swemu za matkę dał... mówili potem ludzie, których się moc wielka zesłała na pogrzeb—niech mu Bóg daruje i nie karze mu za to pokutować! ale jeżeli dusza ludzka z ciała wyszedłszy, może widzieć, co się na ziemi dzieje, to pokutował on za to, i ciężko. Pewno chciał Stasiowi swemu powiedzieć: — Pamiętaj żeś ty nie Niemiec... a jego właśnie zgoła Niemcem czyniono! Stryj nieboszczyka miał i bez testamentu prawo opieki nad sierotą, ale szczególnie co do majątku, aby trwonionym nie był—matce zaś przysługiwało to, aby dziecko przy niej się chowało. Nie była w tem ani niedbała, ani zbyt surową, nie... Kochała syna, jak się matce należy, ale i chowała go poswojemu, co też nie jest dziwem żadnym. Rodzina jej niemiecka raz po raz do niej do Czarnoborów zjeżdżała, aż ją ztamtąd wyciągnięto. Pojechała, synka ze sobą zabierając, czego nikt zabronić jej nie mógł. Chował się tam gdzieś, a potem w Wiedniu do szkół go oddano, potem jeszcze, gdy podrośl, wszedł do szlacheckiej akademii wojskowej, ale wtedy, gdy się to działo, opiekun jego ze strony ojcowskiej już nie żył. Poprzednio odwiedzał on sierotę w Wiedniu co rok, ale nie wiele to znaczyło. Matka Niemka zawsze była przy tych odwiedzinach przytomną, więc i on nie mógł temu dziecku bez ojca powiedzieć: — Pamiętaj, żeś ty nie Niemiec..

Chłopiec miał nie pełna lat czternaście, gdy ten stryjeczny jego dziad oczy zamknął i w Czarnoborach powstał lament! — Ach! wzdychali ludzie—to on nieboraczek już tam teraz, jak ta dusza w czyscu, której nie ma komu choćby i święconej nitki spuścić, aby jej się czepiał! Ten i ów chciał iść i Stasia w „Widniu“ odwiedzić, ale jakoś nie poszedł nikt... A jak tam trafić... jak się z kim rozmówić... a jeszcze mogą do niego nie puścić... Dowiedziano się też, że wdowa drugi raz za mąż poszła i prawie się uradowano. — Wróci, wróci nie długo... mówiono—z ojczymem nie rozkosz, i wróci, niech się tylko w szkołach rozumu wyuczy, jak to się pańskiemu dziecku godzi.

Ale nie wracał; do wojska wszedł, do gwardii cesarskiej. Ktoś, urlopnik jakiś, powiadał, że musi mieć w takim razie złote szlify, złote akselbanty i widać dla nich to: dla szlif i akselbantów do rodzinnego domu się nie spieszył. Niejeden ze starszych gospodarzy umarł, młodzi jakoś mniej już o tem myśleli, na folwarku dworskim zawsze jeden i ten sam stary rzadca gospodarował, gdy naraz już wieczorem późnym usłyszeli we wsi, że poczta trąbi. — To on!... zateknął za swoją ziemią, swoim za domem, za łanem swoim i wraca.

Droga od miasta nie szła przez wieś, a po ciemku gdzieś tu lecieć?... i nie widział go też nikt, aż nazajutrz rano. Wzięli miodu w plastrach, nabrali w kobiałki jaj, grzybów, orzechów i poszli witać, ale ich niezaraz puszczono. Był fagas Niemiec i ten ode drzwi odepchnął, tupnął na któregoś starego, który się gwałtem do sieni pchał i musieli pójść precz...

Ale poszli nie daleko, w podwórzu czekali, czekali, aż się doczekali wreszcie! Okno się jedno naraz otworzyło i stanął w niem ktoś—on! Piękny, wysmukły, z blond włosami i aż krzyknął, któryś z radości, tak był podobny do ojca—kropla w kroplę Czarnoborski! Po matce Niemce za dnego rysu twarzy nie wziął i byli tacy, co płakali z radości. Kazał ich wpuścić, przyszli, za nogi objęli, czego im czynić nie dał, ale jakoś zimno szło od niego—prosto mróz! Gdy chcieli gadać, zwłaszcza jeden, Banach sołtys, skinął na

niego, aby dał pokój. Wyszli też niedługo z kobiałkami, z miodem, bo pomyśleli: na co jemu ich miód, na co grzyby i orzechy?..

Tak... na co jemu tutejszy miód, na co wszystko tutejsze? Jemu tu było jak w niewoli, w zamczku tym starym, w kotlinie tej między górami! Przyjechał, bo miał długi; mówili ludzie, że w karty grał i przegrał kupę grosza, u lichwiarzy się na to zadłużył i do rodzinnego domu wrócił.

Rodzinnej mowy całkiem nie zapomniał, ale się w niej zacinał. Że język ojczysty choć jako tako uratowany z ogólnego uczuć rodzinnych bankructwa sobie wyniósł, zrobiło się to przypadkiem, łaską losu. W szkołach był jakiś syn urzędnika Polaka, który za nazwiskiem się kierując po polsku do niego mówił, a choć potem z pańskimi rodzinami polskimi raz po raz w Wiedniu się spotykał, lecz tam w salonach po francuzku mówiono. Ale dostał mu się na ordynansa chłopak, prawie że z tych samych, co on stron, a była w nim jakaś rogata, uparta dusza i ten nigdy do pana porucznika inaczej słowa nie rzeknie, tylko poswojemu rznie—nie zkiepska pomazursku, ale zkiepska poszląsku. A miał ten Jędrzek jedno jeszcze przyzwyczajenie szczególne. Zawsze rano przyjdzie i jakgdyby raportował, gada: — A słońce świeci, i u nas tam może łąki koszą.... A! deszcz pada, niechby tam tylko u nas na garściach zboża nie było!... I tak zawsze głupia chłopiska dusza śniła, a szlachecka sierota słyszała o owem „tam!“ i swój język w uszach dzwonił.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## RUCH MUZYCZNY

Powodzenie koncertów panny Alicji Barbi i zapał, z jakim była przyjmowaną, wymownie zaświadczyły o rozbudzającym się zamiłowaniu do muzyki wokalnejszej. Dotychczas rzadkokiedy zdarzało nam się słyszeć wykonywane arcydzieła Haendla lub Mozarta, a coż dopiero zabytki starej włoskiej muzyki! — natomiast piosenka wojska, a co najwyżej, aria z opery, stanowią całą treść wykazu koncertowego, z zupełnym zadowoleniem słuchaczy; to też zdumieni jesteśmy, że koncerty prawie wyłącznie traktujące jeden z najpoważniejszych działów muzyki wokalnejszej, co nawet już i dla znawców mogło być nużącym, tak entuzjastycznie przez profanów były przyjętymi. Jest tak to piękny objaw, ale to tak piękny, że prawie niepodobna nam uwierzyć i mimowoli pytamy się: czy to nie chwilowa moda, lub tylko udawanie znawstwa? Jakkolwiek bądź, wdzięczni jesteśmy artystce, która tych cudów dokazała, albowiem nie może być, aby choć troszkę wrażenia nie pozostało słuchaczom, co nadal, pozwoli im stawić porównania i wyrabiać sobie sąd krytyczny, czyniąc z nich publiczność wybredniejszą, wpływającą dodatnio na rozwój sztuki. Oby więc jaknajczęściej miały miejsce takie pedagogiczne występy! Nie będziemy szczegółowo wymieniać kompozycji, które na tych dwóch pięknych koncertach były wykonane; dość będzie powiedzieć, że słuchacz mógł się dosyta napawać urocami dźwiękami arcydzieł Beethovena, Haendla, Glucka, Marella, Astorgi, Pergolesego, Salvatore Rosy, Jomellego i Paradisięgo. Panna Barbi chciała również wykazać umiejętność swą w interpretacji dzieł nowożytnych i w tym celu zamieszcila w programacie kilka dzieł: Liszta, Rossinięgo, Schuberta, Masseneta i Rubinsteina, z tych ostatnich najpiękniej była wykonana pieśń Rubinsteina „Neue Liebe“.

W drugim koncercie panny Barbi występował w części instrumentalnej, nasz sympatyczny pianista, p. Michałowski, a stosując się do poważnego nastroju całego programu, wykonał waryacje „Haendla“ z wykonaniem wykwiłtem, pojęciem szlachetnym, bez żadnej affektacji, dając

także ze swej strony próbkę, jak potrzeba traktować ten rodzaj muzyki.

Dyrektor Konserwatorium Warszawskiego, w celu przysporzenia funduszków tej instytucji, urządził cały szereg koncertów muzyki kameralnej, z których dwa już się odbyły. Na pierwszym usłyszeliśmy kwartet smyczkowy *Es* major Beethovena op. 74, w którym przyjęli udział pp. Barcewicz, Stelmach, Mezelewski i Goebelt; zbytecznym byłoby mówić, że wykonanie najzupełniej mogło zadowolić najwybredniejsze wymagania artystyczne; chcemy tylko oddać zasłużoną pochwałę p. Barcewiczowi za kierunek szlachetny i jednolity, którym tak umiejętnie natchnął swych trwarzyszy, a co bezwarunkowo jest zawsze zasługą pierwszego skrzypka. Drugim numerem programu były wariacje Schumanna, na dwa fortepiany; wykonawcami byli panowie: Zarzycki i Schlözer. Kto zna grę obu wirtuozów, łatwo sobie wyobrazi, jak było zajmującym jednocześnie zestawienie tych dwóch różnych temperamentów. Zarzycki interpretuje dzieła wykonywane więcej jako artysta kompozytor, niż jako wirtuoz dbający o zaprodukowanie swej gry; nie bawi się w wykonywanie szczegółów, któreby rozdrabniały główne okresy muzyczne; w grze jego, każda myśl autora występuje wymodelowana znakomicie, a grupując w głównych zarysach te okresy, czyni dzieło zrozumiałym dla słuchacza. Schlözer zaś, który, przy werwie gorącej i slicznej równej technice, całą duszą przedewszystkiem jest fortepianistą, w wykonaniu dzieł potrafi wyzyskać każdy najdrobniejszy szczegół, uwydatnić go i spożytkować, aby tylko wykazać wszystkie zasoby swej dystyngowanej, skończonej gry. Zestawienie więc tak różnych poglądów na sztukę, utworzyło prawdziwy duet dwóch prądów uzupełniających się wzajemnie; dzieło ożywiło się nowym efektem pełnym prawdy, jakby z natury czerpanym, nie tracąc nic na swej piękności. Trzecim numerem było Trio G. minor op. 15 N<sup>2</sup> Antoniego Rubinsteina. Pan Zarzycki, Barcewicz i Goebelt wykonali je prawdziwie koncertowo, sprawiając wrażenie potężne, tembardziej, że dzieło to można zaliczyć do najcelniejszych tego kompozytora.

Drugi wieczór odbył się w zeszłym tygodniu. Programat składał się z kwartetu N. 13 D minor Mozarta. Sonaty Beethovena Op. 30 N. 2 i Septetu J. N. Hummela. Głównymi wykonawcami byli pp. Schlözer i Friemann. W kwartecie Mozarta, Andante szczególnie dobrze było wykonane, pierwsze zaś Allegro cokolwiek za rozwlekłe i sentymentalne. Pan Friemann w partyi skrzypców pierwszych zanadto odróżniał się od całości, nie pociągając za sobą innych partyi; prawdopodobnie, iż nie dość zgrane ze sobą siły wykonawcze, nie poznały się jeszcze wzajemnie. W sonacie Beethovena szczególnie na zaznaczenie zasługuje umiarkowanie, z jakim p. Schlözer (choć bezskutecznie) pozwalał partyi skrzypcowej rozwijać się samodzielnie. Natomiast w następnym dziele, mianowicie w Septecie Hummela, p. Schlözer mógł dowolnie rozhułać się na wdzięcznym polu popisu w figuracjach efektownych wykwintnej szkoły hummłowskiej, tam fortepian przedstawia pierwszą i najważniejszą partyą, reszta instrumentów (obój, flet, waltornia, altówka, wiolonczella i kontrabas), prowadzi tylko akkompaniament drugorzędny, powiemy nawet, że słabą stroną tego dzieła jest zepchnięcie reszty instrumentów na stanowisko mało znaczące; gdyż właśnie można było wyzyskać różnorodność ich brzmień i charakterów w opracowaniu bardziej polifonicznym. Bądźco bądź, nie wdając się w ocenę dzieła ze stanowiska wymagań tegoczesnej sztuki, która to ocena musiałaby wykazać wiele niedostatków w samej treści kompozytów, musimy oddać sprawiedliwość, że Hummel znał gruntownie fortepian i wiedział, jak go zażyć, a z czem poszło, że wytworzył prawdziwy koncertowy popis dla pianisty, który nie napotyka wprawdzie trudności niewłaściwych dla instrumentu; wszystko tam bowiem napisane dogodnie, w palce, lecz, wyczerpująco siły koncertanta, tak, iż może stanowić kamień probierczy jego wytrwałości. Otóż p. Schlözer wywiązał się z te-

go trudnego zadania, nie tracąc werwy błyskotliwej, w którą do końca zwycięzko doszedł.

W operze występował gościnnie p. Warmuth, tenor sceny lwowskiej. Słyszeliśmy go w „Hugonotach“, w otoczeniu prawie zupełnie nowem, albowiem tegoż wieczora występowała również panna Józefa Szlezycierówna, jako paż, i panna Pinkertówna w roli królowej. Pan Alexandrowicz przyjął na siebie rolę hrabiego St. Bris. Opera szła bardzo składowo. Panna Szlezycier slicznie wykonała małą swą rolę, wlewając w nią wiele poezji i wdzięku, czem zupełnie odżywiła, jakby nowym kolorytem, zdyskredytowaną partyę. Koloratura subtelna, głos czysty, jak dzwonek, i postać sympatyczna, złożyły się tym razem na całość arcy-miłą. Panna Pinkertówna należy do tych debutantek, którym się powiodło; występ jej miał powodzenie, gdyż widocznie była dobrze przygotowaną, tak pod względem wokalnym, jak i akcyj dramatycznej. Słyszając ją i widząc na scenie, można było zapomnieć, że się ma przed sobą debutantkę: tak swobodnie swą rolę traktowała, bez tremy bez nieobycia się ze sceną. Śpiew jej znany nam z estrady, nie wydał się gorzej na scenie: przeciwnie, akkompaniament orkiestry przyemił trochę, zbyt przenikliwie i cienkie brzmienie głosu, co na korzyść mogło tylko wypaść. Koloratura bardzo staranna i biegła, zupełnie, jak dla debutantki wystarczająca, stanowi stronę dodatnią zdolności p. Pinkertówny i może jej, jako śpiewaczce wybitną przyszłość zapewnić. Pan Warmuth ma głos sympatyczny, lecz nie wszystkie drogi są dla jego talentu otworem; jako tenor bohaterski, ma zamało siły i musi oszczędzać się bardzo, by dotrzeć do końca opery. Z tem wszystkiem, dzięki umiejętnej grze i postaci sympatycznej, p. Warmuth dobrze się przedstawia i przy dalszej pracy, mógłby może dojść do stanowiska bardzo pożytecznego artysty.

Drugi koncert symfoniczny Dyrekcji Teatrów ze współudziałem p. Barcewicza, odbył się dnia 3-go Grudnia. W programacie znalazła się nowość dość zajmująca, mianowicie: Suita orkiestralna, Maurycego Moszkowskiego. Dzieło to oprócz bogatej i barwnej instrumentacji, trzymanej w stylu tegoczesnym, to jest, posiłkującej się wszelkimi efektami brzmień i kolorytów sztucznych, pod względem treści nie przedstawia tyle bogactwa i głębokości, aby mogło zająć słuchacza. Pierwsze Allegro i Andante z wariacjami, najlepiej nam się podobały, lecz, powiedziawszy prawdę, bodaj najmniej są oryginalnymi. Pan Barcewicz wykonał symfonię hiszpańską, kompozytora Hiszpana Lalo. Symfonia ta, pełna gorącego uczucia, trafiła na wyborne usposobienie naszego skrzypka: to też widocznie sam uległ urokowi muzyki i grał tak pięknie, z taką siłą przejmującą, że wprowadził w zapal całe audytorium; Andante i Rondo szczególnie piękne, największe zrobiły wrażenie. W drugiej części koncertu p. Barcewicz grał jeszcze Introdukcją i Rondo Saint-Saënsa, a zniewolony przez zachwyconą publiczność, musiał je powtórzyć.

Orkiestra oprócz uwertury Webera „Euryante“ i wymiennej już Suity Moszkowskiego, odegrała dwa ustępy z muzyki baletowej z opery „Feramors“, Rubinsteina. I tym razem, jak zawsze podziwialiśmy w tem dziele cudną instrumentacją i wdzięczne temata, lecz samo wykonanie wydało nam się za ciężkiem i niedość zgodnym.

Z wieczorów Towarzystwa Muzycznego zasługuje na wzmiankę programat koncertu z dnia 10-go Listopada. Występowała w nim pani Wiara Timanoff i austriacki kwartet wokalny żeński. Pani Timanoff wykonała: Pastorałe Scarlattiego, Nocturne Fielda, Tarantellę Liszta, Menuet i Walc Moszkowskiego, oraz nad programat jeden z mniejszych utworów Czajkowskiego. O grze p. Timanoff nie mamy nic więcej do powiedzenia nadto, co już dawniej tutaj wyraziliśmy; nadmienimy tylko jeszcze, iż jestto gra wystudowana, bardzo poprawna, lecz zbyt chłodna; z dzieł wyżej wymienionych najlepiej była zagrana Tarantella Liszta. Prawdziwej doznaliśmy przyjemności, wsłuchując się w śpiew kwartetu damskiego. Oprócz czystości intonacji i zgodności nadzwyczajnej w rytmice, kwartet ten, zaleca się doskonale wystudowanemu cieniowa-

niem i jednolitością pojęcia. Naturalnie, że wszystkie te zalety nie mogły dać nam potężnych efektów siły, wpływających z ilości i obszaru skali głosów; gdyż pomimo dorywczo branych niskich nut (Alt II brał niskie C), kwartet głosów żeńskich za mało ma przestrzeni dla rozwinięcia szeroko harmonii, a pojedynczo obśadzone partye zbyt wątko ją prowadzą. Z kwartetów wykonanych „Taniec Węgierski“, najwięcej zjednał sobie sympaty.

Juljusz Statler.

## Kronika działalności kobiecej.

— Towarzystwo pań Ś-go Wincentego à Paulo, wspierało w miesiącu Listopadzie rozdanie 309 rodzin 4,296 bocheaków chleba, mąki 1,600 funtów, kaszy 9 korey, mięsa 1,134 funtów, soli 500 funtów. Pieniędzy rozdano 50 rs., 902 lekarstw. Dzieci utrzymywano w Przytulku 32. Brak w funduszach Towarzystwa, przy zwiększającej się potrzebie sprawia, że już na miesiąc Grudzień musi wstrzymać rozdawnictwo mięsa, które jednak jest konieczne potrzebne chorym lub wycieńczonym.

— Anna Kryszkowska, mająca lat 50, odbyła z synem swoim piętnastoletnim, Józefem, podróż do Ziemi Świętej, prawie pieszo, obecnie wrócili oboje z pielgrzymki, trwającej cały rok.

— Dobry a w skutkach wychowawczych wazy postęp objawia się w ubieraniu u nas lalek, znikają lalki strojne, a ich miejsce zajmują rodzajowe lub w miłych nam ubiorach dawnych. Magazyn Seweryny przy ulicy Elektoalnej wystawił ich szereg cały; rozpoczyna go ładna dziewczeczka dawna, w białym kontusiku z wylotami, w konfederacie z kitką. Dalej jest praczka z koszem pełnym bielizny; cyganka, przekupka u straganu z owocami, pan z „Kuryerem Warszawskim“ w ręku — wszystko to może być dobrą zabawką, która nie zasieje w dziecko młode psującego, wszystkie cnoty i uczucia wyższe rozkładającego ziarna strojnictwa, elegancji, szyku. Podobnie w magazynie przy ulicy Marszałkowskiej widać za szybami sklepu: Krakowianka, cyganka, amazonka na koniu i widocznie dama salonowa usuwa się na bok, co daj Boże, i w świecie lalek żywych.

— Szkoła pszczolarstwa p. Klementyny Maculewiczówny, przeniesiona ze wsi Dziewałtów w Kowieńskim, do wsi Puzyńszki także w Kowieńskim (Powiat Poniewiecki) a mająca otworzyć się, jak ogólnie zakłady nauki pszczolarstwa, dnia 20 Kwietnia roku przyszłego, z kursem trzymiesięcznego trwania do 20 Lipca, zapewnia na miejscu uczennicom i uczniom swoim pomieszkowanie, stół i pranie, za 16 rs. miesięcznie. Opłata za naukę liczy się rs. 10, razem więc za cały kurs kwartalny rs. 58.

Puzyńszki są własnością zacnego dr Pietkiewicza, którego córka, p. Gabryela Pietkiewiczówna, uczyła się w roku zeszłym pszczolarstwa od p. Maculewiczówny w Dziewałtowie; gdy zaś pewne trudności miejscowe nie dawały się tam szkole szerzej rozwinąć, przenosi się zatem do miejscowości nowej, gdzie znajdzie odpowiednie dla siebie pomieszczenie. Przy szkole istnieć będzie, jak dotąd, i fabryka uli rozmaitych systematów: Lewickiego, Ramoszyńskiego, Dzierżona. P. Maculewiczówna uczy przedewszystkiem pszczolarstwa w ulach systematu Lewickiego, ale zrazem w ulach wszystkich innych systematów, a nawet w kłodach, barciach, koskach, bo wiele osób nie chce i nie może wykładać kapitałów na urządzenie pasiek w ulach ramowych, a pragnie jednak prowadzić je jak można najracjonalniej, jakkolwiek na stary sposób. Przytem w pewnych okolicach leśne pasieki złożone z barci mają swoją podstawę w warunkach naturalnych.

P. Maculewiczówna udziela włościanom nauki pszczolnictwa i pewnych wiadomości ogrodniczych bezpłatnie. Każdy z nich, mający do tego

ochotę, może przyjść i uczesniczyć w nauce bez żadnego wynagrodzenia, i miała już ona jak na wiejskie stosunki dość liczną gromadkę takich uczniów, a mianowicie: Wacław Iwankiewicz stolarz ze Stanisławowa, (powiat Wilkomierski); Czyżyn ze wsi Wieprzy, Pabrynkies ze wsi Kowaluki, Deldenis ze wsi Kurlmel, Szarko ze wsi Burszki, Skiergajło ze wsi Pakalno, Kapusta i Hołownia ze wsi Dziwałtów — wszystko z pobliskich szkole miejscowości. Nie uczęszczali oni na wykłady regularnie, przybывая na wykład w chwilach od pracy gospodarczej nieco wolniejszych, czasami w święto. P. Maculewiczówna, uwzględniając położenie, udziela im zawsze rad i wskazówek pożądaných, przyczem uczyła ich, jak sadzić szkółki, szczepić i okólizować młode drzewka, zakładać nowe a odmładzać stare sady. W Kowińskiem, ogrodnictwo jest dla sprzyjających mu pod wszelkim względem warunków, ważną gałęzią gospodarstwa wiejskiego: ma zapewniony sobie zbyt na wywóz i korzysta z niego, więc też działalność p. Maculewiczówny jest wielce użyteczną i miejsce tam obrane dla szkoły, jest bardzo szczęśliwie. Że dr Pietkiewicz w budynkach i innych potrzebnych pomocach, podaje jej rękę życzliwą, liczyć można na pożądaný rozwój. Znosić się ze szkołą można pod adresem: „Dr Pietkiewicz, w miasteczku Johanszkiele, stacya pocztowa Poswól, Powiat Poniewiecki — dla oddania p. Klementynie Maculewiczównie.”

— Wielkie partie jaj, wyprowadzane ciągle koleją żelazną do Niemiec, wskazują gospodyniom wiejskim, że hodowla drobiu jest zyskową i niezawodzącą nigdy gałęzią gospodarstwa wiejskiego. W pierwszych dniach bieżącego miesiąca partya jaj, wartości 22.0.0 rs., pochodzących z Lubelskiego, wywiezioną została do Berlina przez ajenta, który posługując się innymi, wykupywał jaja częściowo we wsiach. Mogłaby takim wykupem trudnić się na własną rękę miejscowa gospodyni i odstawić jaja do Warszawy głównemu agentowi. Korzystnem być-by mogło dla stron obu kupno na wymianę za towar w sklepie wiejskim, przecież przy stałe oznaczonych cenach, tak towaru, jak jaj. Już był tego przykład, o którym donosiliśmy w swoim czasie czytelnikom — wyprzedzą sędzi, za zamianą jaj według cen praktykowanych w najbliższem miasteczku. Zamienny handel praktykowany jest ciągle po wsiach, tylko że trudniący się nim handlarze wędrowni, lub stałe po wsiach osiedli, mają tu lwią część zysku.

Przypomnieć też należy producentkom, że wartość jaj zmienia się bardzo w miarę ich wielkości i gatunku, który stanowi o jaj smaku i użyteczności przez stosunek białka do żółtka. Dwa lata temu pismo nasze w gospodarskim swym dodatku, podało z okazji Wystawy drobiu w Amsterdamie bardzo obszerne objaśnienia i wskazówki, co do wyboru gatunków kur, hodowanych na jaja, i innych, hodowanych na mięso. Jaja nasze wyprowadzane są nietylko na użytek spożywczy Berlina, ale spekulanci niemieccy wywożą je do Anglii, gdzie sprzedają się pod nazwą jaj niemieckich, dla lichego swego gatunku — najtaniej! Hodowla kur bardzo się wzmaga w Niemczech, w Bawaryi szczególnie, nie trzeba też zalegać pola, aby nas nie ubieżono zwłaszcza na rynku angielskim i zaprowadziwszy hodowlę kur przedniejszych, wyprowadzać jaja do portów angielskich bezpośrednio, wyrabiając sobie klientele.

— *Gazeta Świąteczna* podaje w korespondencji E. Szalewicza z Powiatu Lidzkiego, wiadomość dobrą, że domowe tkactwo stoi tam bardzo pomyślnie. Włóścianki po chatach, oraz panie ze dworu, a nawet żony służby dworskiej, ekonomo-

we, prowadzą ten nigdy niezawodzący przemysł domowy na skale możliwie największą.

— Pięćdziesiąt pań polskich, zamieszkałych w Berlinie, zajęło się nauką czytania i pisania ubogich dzieci pochodzenia polskiego. Policya, uważając to za szkołę pokątną, zwróciła się z rygiorem swoim do Towarzystwa „Oświaty.” Ale nauka, udzielana prywatnie, była tylko dziełem filantropijnem i za takie też uznana została.

— Pod sterem szlachetnej kobiety i filantropki, Liny Morgenstern, zostające stowarzyszenie „Gospodyń Niemieckich,” odbyło w Berlinie doroczną a czternastą już z rzędu uroczystość premiowania uczciwych sług. Oprócz pewnej sumki pieniężnej udzielanej wedle liczby lat i zasług premiowanej, każda ze służących, która 15 lat pracowicie i uczciwie w jednej rodzinie przesłuży, dostaje piękną złotą broszę z napisem: „za uczciwą pracę” i dyplom przez stowarzyszenie wydany. W bieżącym roku kwalifikowało się do nagrody 15 kobiet, z których najstarsza 45 lat, najmłodsza 6 lat służby w jednej rodzinie przed stawiała. Była między niemi biedna Szlązaczka, Anna Maszyńska. Przyznawanie tych nagród odbywa się w sposób bardzo piękny, ponieważ wielki szacunek okazuje się obdarowanem przez członków stowarzyszenia i publiczność. Gdy pracowita gromadka tych domowych robotnic wchodzi do sali posiedzenia, witają je wszyscy przez powstanie. Rozumne i piękne uznanie godności pracy.

— Dnia 10 Listopada nastąpiło w Annaberg, miasteczku saskim, położonem wśród Gór Kruszcowych, uroczyste odsłonięcie pomnika wzniesionego Barbarze Uttman, która trzy wieki temu zaprowadziła między ubogą ludnością górską stron owych przemysł koronek klockowych, ratujący ją do dziś dnia od głodu i nędzy. Orszak bardzo świetny, złożony z reprezentantów licznych gmin, towarzystw śpiewających, szkół żeńskich i innych korporacji, wszystko w malowniczych strojach średniowiecznych, ciągnął z chorągiewami przez miasto ku cmentarzowi, gdzie przed 52 laty został położony przez wdzięczne uczucie miejscowej ludności, kamień pamiątki na grobie Barbary Uttman, z napisem: „Czynny duch i pracowita ręka ściągają błogosławieństwo na kraj ojczysty.” Obecnie stanął tam jej posąg naturalnej wielkości z podpisem „Dobrodziejka Gór Kruszcowych.” Uroczysty ten pochód otwierał wielki średniowieczny wóz, ciągnięty przez silne, bogatemi czaprakami pokryte konie, a na wozie siedziało sześć dziewięć góralskich, także w średniowiecznym ubiorze, każda z warsztackiem koronkarskim, przerzucając zręcznie klockami. Posąg, dzieło drezdeńskiego rzeźbiarza, Hentze, odlany z brązu, został uroczystie przyjęty na własność narodową przez burmistrza m. Annaberga, Wilisch'a — które-to nazwisko zapewne brzmiało kiedyś wymawiane przez usta Łużycan: Wilisch. Jako dzieło sztuki, posąg ma być niepospolitym utworem; twarz Barbary jest pełną łagodnej siły, ruch ręki lewej, wskazującej warsztackim koronkarski, trzymany w ręce prawej, szlachetny jest i prosty. U podstawy, na której się wznosi, leje się z czterech lwich paszczy cztery kryształowe źródła świeżej wody. Podstawa i łwie głowy, są także z brązu odlane.

— W ostatnich dniach Października zmarła we Francyi kobieta, której dzieciństwo poświęcił bohaterski czyn odwagi i poświęcenia. Jozefina Forget, z domu de Lavalette, mając rok trzynasty, ocalała wespół z matką swoją od śmierci generalnego dyrektora poczty de Lavalette, który za to, że połączył się w 1815 r. z Napoleonem, powracającym z wyspy Elby, został skazany przez

rząd Burbonów na rozstrzelanie. Żona z córką ułatwiły mu już w wilją śmierci ucieczkę. Mąż zamienił z żoną suknie, i uszedł w tym przebraniu, prowadzony przez córkę, która zdobywszy się na potrzebną siłę do końca, mdlała potem wielokrotnie, skoro rzecz spełnioną została. Pozostała w więzieniu żona została wypuszczoną z niego wkrótce, ponieważ znaleziono ją za otworzeniem drzwi przez strażników — waryatką. Umarła w niedługim czasie. Córka dożyła lat sędziwych, ale była zawsze tak uderzającej bladeści, że jakiś malarz angielski chodził za nią tajemnie blisko rok, aby jej twarz odmalować, której nie ożywił nigdy blask rumieńca.

— Oslawiona Hubertyna Auclerc, wręczyła francuskiej Izbie deputowanych petycją, żądającą ustanowienia syndykatu kobiecego, ponieważ jest to niesprawiedliwością i razem nielogicznością, aby w sprawach handlu i przemysłu kobiecego rozstrzygali mężczyźni, nie znający się nigdy dostatecznie na przedmiotach sporu. Ponieważ wniosek deputowanego Lockroy w przedmiocie urzędzenia syndykatów ma się właśnie rozbiierać w Izbie, petycyonistka więc żąda, aby jej żądanie zostało zarazem poddane dyskusji. Tu, ta czerwona emancypantka francuzka ma za sobą słusność, podobnie jak i w żądaniu, aby pomiędzy sędziami przyszłej wystawy zasiadały kobiety, jako biegłe w przedmiotach kobiecego przemysłu.

— Włoska filantropka signora Aurelia Ciminio Foliero, zamieszkała w Medyolanie, postanowiła założyć w miasteczku Cesena szkołę wiejskiego gospodarstwa dla kobiet, tak w zakresie rolnictwa, jak gospodarstwa domowego w sferze małych gospodarstw wieśniaczych. Szkoła połączona ma być ze zwykłym wykształceniem elementarnem, a tylko uzupełniająca je przez wiadomości realne w zakresie przyszłego zawodu życia uczennic. Pomysł godny naśladowania.

— W pierwszym litograficznym zakładzie rzymskim, signor Virano, znaczna część roboty dokonywana jest przez kobiety. Podobny zakład signor Minelli w Rovigo powierza najdelikatniejsze swe prace owym kobietom, matce i córce. *La Donna* podaje kilka przykładów korzystnie rozszerzającego się we Włoszech zakresu litograficznej pracy kobiet.

## Sprostowanie.

W artykule „Mowa dziecka“ Nr 49 *Bluszczu* na str. 390 w szpalcie 3, wierszu 9 od dołu, zamiast: „słucha przyjmowany przez jako“, powinno być: „przyjmowany przez organ słuchu jako“; i na str 391 w szpalcie 1, wierszu 43 od góry, zamiast: „charakterystyczne“ i t. d., powinno być: „i chrapliwe, bezdźwięczne prawie drgania krtań, coś w rodzaju głoski H.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 3-ci powieści pod tyt.: *Ostatni Batory*, przez Mikołaja Josika.

**TREŚĆ.** Wystawa w Muzeum Przemysłowem, (dokończenie), przez M. Płnicką. — Gasnąca dusza, powieść, (dalszy ciąg) przez M. Gawalewicza. — Dramata konkursowe, przez St. Krzemińskiego. — Korespondencya zagraniczna Poznań. — Zegar na wieży kościoła Bożego Narodzenia, przez M. Płnicką. — Ruch muzyczny, przez Juliusza Stattlera. — Kronika działalności kobiecej.

**Dodatek obejmuje:** Arkusz 3-c i powieści pod tytułem: *Ostatni Batory*, przez Mikołaja Josika. — 33 wzorów ubiorów robót wraz z opisem — *Sekreta gospodarki*. — *Dyspozycyą stołu*.